

5 największych błędów popełnianych przez rodziców podczas przewożenia dzieci samochodem



Fotelik samochodowy jest jedną z pierwszych rzeczy, o zakupie której myślimy, kiedy okazuje się, że oczekujemy przyjścia na świat dziecka. I o ile wiemy mniej więcej jak dopasować go wagowo do dziecka, jak go dobrać do modelu i funkcji samochodu, o tyle wciąż wśród rodziców pokutuje kilka poważnych błędów. Tak naprawdę mam wrażenie, że niewielu z nas wie w 100% jak przewozić dziecko samochodem, aby było ono w pełni bezpieczne.

Z tego względu zebrałam dziś 5 w mojej opinii najpoważniejszych błędów popełnianych przez rodziców podczas przewożenia dziecka samochodem.

1. Kupienie używanego fotelika

Problem zaczyna się już na starcie. Na stronach typu OLX lub allegro znaleźć można masę ogłoszeń, w których sprzedający zachwalają używane dziecięce foteliki „w idealnym stanie”. Pokusić się łatwo, bo nowy fotelik to chyba dla każdego duży wydatek, podczas gdy używany model kosztuje przynajmniej o połowę mniej. Jednak nie wiedząc przez kogo i w jakich okolicznościach używany był fotelik oraz przede wszystkim nie mając 100% pewności, że nie uczestniczył on w wypadku samochodowym, powinniśmy unikać takich fotelików jak ognia, ponieważ stanowią one dla naszego dziecka śmiertelne zagrożenie. Używany fotelik z nieznaną historią **nie nadaje się do ponownego użycia**.

2. Zdjęcie naramiennych ochraniaczy z pasów fotelika

Może nam się wydawać, że takie szerokie, grube ochraniacze są dla dziecka niewygodne. Jednak dziecko przyzwyczajone do jazdy samochodem w konkretnych warunkach nie będzie narzekało na jej uciążliwość. Natomiast zdjęcie ochraniaczy może nas kosztować kolejne obniżenie poziomu bezpieczeństwa naszego malucha. **Zadaniem ochraniaczy** jest ochrona skóry dziecka, zarówno podczas jazdy, jak i ewentualnego zderzenia, przed mocno (czyli prawidłowo!) napiętymi pasami fotelika. Ochraniacze zapobiegają zsuwaniu się pasów na boki i służą zachowaniu ich prawidłowej pozycji.

3. Przewożenie dziecka w zimowej kurtce

Wspominałam już o tym we wpisie „**Top 5 głupot, które matki robią dzieciom w zimie**”. Niebezpieczeństwo przewożenia dziecka w grubej kurtce wiąże się z wysunięciem się dziecka z kurtki podczas silnego zderzenia lub szarpnięcia samochodu. Zimowa kurtka sprawia, że pasy, pozornie ściśnięte, są w rzeczywistości dużo za luźne, co wyraźnie widać na poniższym filmie. Jeżeli więc martwimy się co zrobić, aby dziecku nie było zimno w nienagrzanym jeszcze samochodzie, możemy przykryć je grubym swetrem lub kocem tak, aby do momentu podniesienia

temperatury otoczenia nie zmarzło, a było maksymalnie bezpieczne.

4. Zbyt wczesne przesadzenie dziecka na podkładkę

Foteliki są niewygodne i uciążliwe dla rodziców. Wymagają wsadzenia dziecka, dokładnego zapięcia go, zdjęcia kurtki, założenia kurtki, podczas gdy podkładka jest tania, mała, wygodna i bezproblemowa. Z tego względu wielu rodziców spieszy się, aby szybko **przesadzić do niej dziecko**. Jest to jednak spory błąd. Według zaleceń dziecko może jeździć na podkładce nie wcześniej niż po ukończeniu 4-5 lat (a nawet 6), ważąc 15 – 36 kg i dopiero w momencie kiedy mamy pewność, że całą drogę spokojnie przejedzie przypięte pasami jak osoba dorosła.

W Polsce według przepisów mamy również **nakaz wożenia dziecka na przednim fotelu** tylko i wyłącznie w odpowiednio dostosowanym foteliku do momentu, kiedy nie osiągnie ono 12 kg. W takiej sytuacji podstawka również odpada. Jednak również w warunkach, kiedy teoretycznie możemy już jej użyć warto rozważyć pozostanie jak najdłużej przy foteliku. Podstawka nie daje dziecku praktycznie żadnego bezpieczeństwa, brakuje jej ochrony bocznej i ochrony głowy. Nie zapewnia też takiego samego poziomu ochrony jak pięciopunktowe pasy stosowane w fotelikach. Dziecko może się z niej łatwo zesunąć i wyslizgnąć z pasa. Nie jest więc warta teoretycznych oszczędności w naszym portfelu.

5. Aktywna poduszka powietrzna przy fotelu pasażera

Temat, który jest dla mnie najbardziej wrażliwy i który rodziców kosztuje najwięcej energii i zaangażowania. Osobiście własnoręcznie (rękami mojego męża) zamontowaliśmy w samochodzie wyłącznik przedniej poduszki powietrznej. Dlaczego? Przy przewożeniu dziecka w foteliku tyłem do kierunku jazdy na przednim siedzeniu, co czasem nam się zdarzało, polskie przepisy jasno mówią, że poduszka powietrzna nie może być aktywna. Grozi to **wstrząsem mózgu, poważnym**

uszkodzeniem kręgosłupa i urazami wewnętrznymi.

Nawet u starszych dzieci przewożonych na przednim fotelu przodem do kierunku jazdy istnieje zagrożenie połamania nóg przez poduszkę powietrzną. Wystarczy wspomnieć, że **poduszka rozwija się z prędkością 300 km/h** i wystarczy nieprawidłowo zapięty fotelik lub dziecko ułożone za blisko, aby stała się tragedia. To, nad czym zupełnie nie mamy kontroli, to również geometria fotelików, która jest różna dla różnych modeli. Jeżeli więc musimy przewieźć dziecko z przodu, dla spokoju własnego sumienia i zmaksymalizowania bezpieczeństwa malucha, wyłączamy poduszkę. Fotel natomiast odsuwamy maksymalnie do tyłu pamiętając, że może najdalej może on być ustawiony w pozycji równo z bocznym słupkiem między szybami samochodu.

Jeżeli natomiast interesuje was bezpieczeństwo samych fotelików, warto zaglądać do aktualizowanych raz na jakiś czas **testów ADAC**, które w skali 1-5 pokazują, które modele są godne zaufania.

10 rzeczy, na które mam wywalone jako matka



Jako rodzice nieustannie za czymś pędzimy, nieustannie się czymś martwimy, mało śpimy, nie dojadamy, pijemy kawę odgrzewaną w mikrofalach po pięć razy. Kiedy urodziło się moje dziecko, martwiłam się o wszystko. O to jak je i ile je. O to, czy mu ciepło. O to, czy mu zimno. O to, co inni powiedzą i jak ja się wtedy zachowam.

Po kilku latach bycia matką wiem dziś, że najlepszą umiejętnością, jaką dało mi doświadczenie macierzyństwa, jest to, że **umiem mieć wywalone**. A im na więcej rzeczy matka ma wywalone, tym jej z tym lepiej.

1. Jedzenie

Mój trzylatek **waży 12,5 kg**. Taka jego uroda, ale chwilę mi zajęło, żeby to zrozumieć. Dbam o jego **zdrowie i odporność**, ale są rzeczy, na które po prostu muszę mieć wywalone, bo oszaleję. Raz, że nie dam rady raczyć go 24 godziny na dobę eko-sreko jedzonkiem z rodzimych upraw bez oprysków itp. itd. Mam ograniczone możliwości, a z drugiej strony nie jestem też eko-maniaczką. Kupuję to, do czego mam dostęp i wszyscy jakoś na tym żyjemy. Dwa, że nie postawiłam sobie za cel mojego

życia, że moje dziecko nie będzie jadło słodczy.

Na Boga, jest tylko dzieckiem, niech ma z tego dzieciństwa jakieś przyjemności. I trzy, że od jakiegoś czasu olewam to, czy i ile moje dziecko zje. Są dni, że wsuwa jak odkurzacze wszystko, co stoi lub leży na jego drodze, a są dni, że zje trzy kęsy i mówi mi, że jest najedzony. Ok synu, wierzę Ci. I nie zamierzam się tym stresować. Przeżyłam dzieciństwo na naleśnikach ze śmietaną z cukrem i plackach ziemniaczanych, i popatrz. Żyję i mam się świetnie.

2. Dziecięca rozmiarówka

Do pewnego momentu miałam w imieniu mojego dziecka kompleksy, że ma np. dwa lata, a nosi ubrania opisane na metce jako półtora roku albo mniej. W pewnym momencie zrozumiałam, że wyznacznikiem jego rozwoju nie jest numer na metce, który zresztą zależy od firmy produkcyjnej, ale to, że ja i lekarze widzimy, że wszystko jest w porządku. A rozmiarówka? W tej chwili w szufladach mojego dziecka są trzy różne, często inne na spodniach, a inne na bluzkach. Ale czasem nawet nie wiem jakie, bo panicz każe odcinać wszystkie metki, bo go drażnią. I tyle z mojego zmartwienia.

3. Nieskazitelnie błyszczące mieszkanko

Nie jestem pedantką, bardzo daleko mi do tego. Ale najlepsza rzecz, jaką dało mi macierzyństwo, to to, że mogę sobie wybaczyć bałagan. Lustro i okna oblepione małymi łapkami. Zabawki powciskane dosłownie we wszystkie kąty domu. Kuchnia, której czasami ze zmęczenia nie udaje się wieczorem sprzątnąć. Przepiętny kosz na brudy, nieumyta łazienka, nieodkurzona podłoga. Czasami nie ma czasu, czasami siły i energii, a czasami niczego nie ma, bo wszystko już opadło. Nic na to nie poradzę. Posprzątam jutro. Albo i nie.

4. Idealne macierzyństwo w internecie

O to wściekałam się zawsze najbardziej. O te idealne obrazki, słodko śpiące dzidziusie na Instagramie obłożone kwiatkami,

serduszkami i czym tam jeszcze popadnie. O białe wnętrza, słodko-pierdzące sceny z życia mamusi z dzidziusiem. A potem dowiedziałam się (a przecież to od początku było takie oczywiste!), że te słodkie dzidziusie tak samo urządzają sceny hysterii, tak samo potrafią zawartość pieluchy przenieść poza nią, tak samo potrafią przenieść swoich rodziców na wyższy poziom świadomości pokazujący mu, że cierpliwość jednak nie jest z gumy. Nie ma ideałów. A na te pozorne ideały mam wywalone.

5. Ilość bajek oglądanych przez moje dziecko

Identyczna sytuacja jak z jedzeniem. Są dni, że bajek w naszym domu praktycznie nie ma, bo albo nie ma na nie czasu, albo ochoty, albo po prostu o nich zapominamy. A są takie sytuacje, że puścimy kilka lub kilkanaście. Żeby chwilę dłużej pospać, żeby mieć chwilę spokoju szykując się do pracy, żeby złagodzić zły nastrój, żeby zabić nudę. Oczywiście, że staramy się dbać o jakość tych bajek, ale zdarza się też, że zostaje puszczone niezrozumiałe dla mnie totalnie Spiderman jeżdżący różnymi pojazdami lub czyjeś ręce otwierające jajka z niespodzianką. Zero wartości, ale widać i tak czasem musi być. Czy to mi ujmuje jako matce? Nie. I tego się trzymajmy.

6. Bycie oazą spokoju

Nie jestem cierpliwa i już raczej nie będę. Granice mojej cierpliwości z każdym rokiem mojego macierzyństwa rozciągają się, ale nadal istnieją. Pogodziłam się już z tym, że nie jestem kwiatem na taflę jeziora i ostoją łagodności. **Uparty trzylatek** potrafi doprowadzić mnie do stanu wrzenia w tyle sekund, ile ma lat i *chapeau bas* przed rodzicami, którym korek nigdy nie piszczy jak na czajniku, kiedy na przykład stoją w obliczu zaproponowania dziadziowi dziesięciu różnych butelek i kubków do picia, z których każdy jest zły, a brak tego wyimaginowanego jedyne powoduje smutek, żal i złość na obliczu nielata.

7. Planowanie dziecku czasu co do minuty

Lubię planować, ale przy dziecku nauczyłam się, że każdy plan może w ostatniej chwili nie wypalić. Może też się zdarzyć, że po prostu nie będzie nam się chciało tego planu zrealizować. Przerost ambicji, przerost formy nad treścią wcale nie jest konieczny do dobrego wychowania dziecka. Możemy się ponudzić i to jest dobre. Możemy obejrzeć bajkę (patrz punkt 5) i to też jest dobre. Nie musimy non stop wychodzić na wystawy, do teatru, na place zabaw, nie musimy ciągle organizować zajęć typu arts & crafts, puzzle czy planszówki. Możemy pojeździć samochodami po podłodze albo pokręcić pluszaki na obrotowym krześle taty. I to też jest super.

8. Higiena za wszelką cenę

Są dni, kiedy moje dziecko nie ma ochoty na kąpiel, albo odmawia umycia zębów. Czy musi to robić za wszelką cenę? Czy rozchoruje się od tego, jeśli raz czy dwa tego nie zrobi? Nie jestem typem matki, która okrakiem siada swojemu dziecku na brzuchu, na siłę rozdziawia mu otwór gębowy, i z widmem czarnych spróchniałych słupków zamiast zębów przed oczami szoruje dzieciakowi zębiska przy dźwiękach ryku i szarpaniny. A widziałam już takie sceny na żywo, wierzcie mi. *True story*. Dlatego raz na jakiś czas mam wywalone na higienę mojego dziecka, bo wiem, że żadne z nas na tym nie ucierpi.

9. Sposoby wychowawcze innych rodziców

Tuż po porodzie pytałam wszystkich znajomych rodziców o ich sposoby na dosłownie wszystko. Przejmowałam się tym, czy ja tak będę umieć. Martwiłam się, kiedy moje zdanie było inne. A teraz? *Róbta co chceta*. Wy wychowujecie swoje dziecko, ja wychowuję swoje. Mi nic do tego, jak wy to robicie i wam nic do tego, jak ja to robię. Każdy będzie zbierał owoce swoich płonów. A o ileż łatwiej nam się będzie żyło jak olejemy nawzajem swoje „świetne” rady.

10. Porównywanie

Czy już łapie w rączkę? Czy już się obraca? Czy już się przekręca? Czy już siada, pełza, raczkuje, chodzi, mówi?... Bo moje tak! A moje nie! I co mnie to do jasnej Anielki obchodzi?! Moją największą bolączką od urodzenia dziecka przez długi czas było porównywanie go do rówieśników i do tego, co czytałam we wspaniałych poradnikach. Dużo czasu mi zajęło żeby zrozumieć, że ma swoje własne tempo rozwoju, że na wszystko przychodzi czas i że prędzej czy później wszystkiego się nauczy. Obserwowałam to już u niego wielokrotnie i dziś na wszelkie porównania mam wywalone. I szkoda mi na nie czasu.

Więc jeśli tak jak ja macie wywalone albo jesteście pilnymi uczennicami i powoli nabywacie tę bezcenną umiejętność, to przybijcie piątki. A ja ze swojej strony mam nadzieję, że ta lista będzie rosnąć. Na to jedno nie mam wywalone.

Zapraszam do grupy mam, w której radzimy sobie, pomagamy i jesteśmy dla siebie przyjazne: **KLIK**. Czekam tam na Ciebie z niecierpliwością!

Głut w przedszkolu wasza mać.



Ten schemat znamy chyba wszyscy: w poniedziałek puszczamy do przedszkola zdrowe dziecko, we wtorek jeszcze ok, w środę jeszcze jak cię mogę, w czwartek rano jakby trochę zatkały po nocy nos, w piątek regularny glut i początki kaszlu. W weekend liczymy na cud, który przeważnie nie nadchodzi.

Co poszło nie tak? Gdzie popełniliśmy błąd?! Dziecko zawsze ciepło ubrane, uszy osłonięte, nie przewiało go, nie przemarzło. Otóż, moi kochani, nasze myślenie jest błędne. To nie my popełniliśmy błąd.

Kilka dni temu na moim fanpage'u przetoczyła się dyskusja na temat oddawania chorych dzieci do przedszkoli i żłobków.

Przeziębione dziecko w wieku przedszkolnym, zhora rodziców. Bo znowu trzeba brać urlop lub zwolnienie i nie wiadomo co...

Gepostet von Motheratorka.pl am Donnerstag, 28. September 2017

W komentarzach pojawiło się wiele słów poparcia dla mojej postawy, ale też masa arcyciekawych aspektów tego dylematu, które skłoniły mnie do trochę szerszego spojrzenia na sprawę.

L-4 a pracodawca

Ciężka sprawa, bo zwolnienia lekarskie, czy to na siebie, czy na dziecko, nigdy nie są w pracy mile widziane. Kiedy bierzemy je na siebie, to jeszcze pół biedy, bo przynajmniej nikogo nie zarazimy. Ale kiedy, nie daj Boże często, bierzemy je na dziecko, od razu stajemy się mniej wartościowym pracownikiem. Nie dość, że nas nie ma, to jeszcze na odległość też nie mamy jak popracować, bo nasz chory maluch jest słabszy tylko w teorii. W rzeczywistości pochłania tyle naszego czasu i energii, co w zdrowej wersji, tylko że z glutem do pasa. A to też nie wszyscy rozumieją.

Sama pracuję na etacie i wróciłam do pracy po urlopie macierzyńskim, kiedy moje dziecko miało półtora roku. Wiem jak jest cholernie ciężko. Ale z dzisiejszej perspektywy wiem też, że dobry pracodawca zrozumie naszą sytuację, a zły nie jest wart tego, żeby poświęcać dla niego zdrowie naszego dziecka.

Hipokryzja rodziców

Ten aspekt boli mnie najbardziej. Wielokrotnie obserwowałam w szatniach, żłobkowej i przedszkolnej, rodziców, którzy udawali, że nic się nie dzieje. Teksty typu „No coś ty, nie wygłupiaj się!” czy „Ojej, zakrztusiłeś się?” wygłaszane do duszącego się od mokrego kaszlu dziecka, to nie legenda miejska czy opowiadane z ust do ust anegdotki, tylko smutna rzeczywistość. Pod wspomnianym wyżej postem moje czytelniczki w komentarzach dołożyły do tego jeszcze oddawanie dziecka do przedszkola na antybiotyku i leku przeciwgorączkowym, a nawet wręczanie przedszkolnym nauczycielkom leków i uciekanie co sił w nogach. Na usta cisną mi się wszelkie możliwe przekleństwa i jednocześnie olbrzymie współczucie dla traktowanych w ten sposób dzieci.

Jest katar i katar

Żeby była jasność. Nie zostawiam dziecka w domu, kiedy raz lub dwa wytrę mu rano nosa, lub kiedy odkaszlę po nocy. Nie jestem głupia i ślepa, znam swoje dziecko na tyle, żeby nie robić również z pań w przedszkolu i z pozostałych rodziców idiotów – nazywajmy rzeczy po imieniu. Katar alergiczny nie jest zielony i gęsty. Kaszel alergiczny nie jest mokry i nie pochodzi z głębi płuc lub oskrzeli. Mówimy sobie, że to przedszkole powinno zadbać o przyjmowanie pod swój dach zdrowych dzieci. Ale w czasach, kiedy każdy lekarz wyda zaświadczenie o zdrowiu dziecka bez względu na stan tego zdrowia, przedszkole może tylko rozłożyć ręce. Wśród lekarzy panuje przekonanie, że przeziębienie, nawet silne, jest naturalnym stanem zdrowia dziecka żłobkowo-przedszkolnego. To do nas, rodziców, należy wykazanie się zdrowym rozsądkiem i ocena sytuacji na korzyść naszego brzdąca. To my znamy go na tyle, żeby wiedzieć, kiedy naprawdę warto otoczyć go opieką w domowym zaciszu.

Chore dziecko w przedszkolu

Jest zagrożeniem dla pozostałych dzieci. Mój synek (lat 3 i pół) ma dość wysoką **odporność**, ale kiedy puściłam go do przedszkola zdrowego po tygodniowej kwarantannie i po trzech dniach zaczął smarkać, doskonale wiedział, które dziecko go zaraziło. A to tylko taki delikatny przykład. Często rodzicom brakuje świadomości, że to, co dla ich dziecka jest niegroźnie wyglądającym przeziębieniem, dla innego dziecka może się skończyć zapaleniem płuc lub oskrzeli i, co gorsza, wizytą w szpitalu. Jedno dziecko przyjmie w domu bez problemu wszystkie leki, a drugie stanowczo ich odmówi, a jedynym rozwiązaniem będzie podawanie mu ich właśnie w placówce służby zdrowia. Choroba dziecka to ogromne koszty, nie tylko finansowe.

Na koniec muszę się wam do czegoś przyznać.

Kiedy moje dziecko chodziło jeszcze do żłobka, a ja już tak bardzo byłam zmęczona jego ciągłymi chorobami i zostawianiem w

domu, przez krótki czas miałam takie podejście, że w dupie z tym wszystkim. Że dopóki nie będzie miał temperatury, będzie chodził. A był to czas, kiedy moje dziecko nie umiało jeszcze mówić o swoim samopoczuciu i o swoich potrzebach. Dość niedawno to on sam uświadomił mi w jakim wtedy byłam błędzie. Obudził się rano, niby bez gorączki, ale z zatkanym nosem, niby nic wielkiego. Powiedział mi „Mamusiu, źle się czuję, nie chcę dziś iść do przedszkola” i widziałam po nim, że mówi prawdę. Został w domu cały tydzień i mam wewnętrzne poczucie, że dobrze zrobiłam.

Kiedy słyszę hasło „glut w przedszkolu”, brzmi ono dla mnie jak największa obelga. Taka, że ma się tylko ochotę dodać „...wasza mać!”. Rodzic, który świadomie oddaje chore dziecko do przedszkola nie ma szacunku nie tylko do innych rodziców i do nauczycielek w przedszkolu, ale przede wszystkim nie ma szacunku do własnego dziecka.

Zapraszam do grupy mam, w której radzimy sobie, pomagamy i jesteśmy dla siebie przyjazne: **KLIK**. Czekam tam na Ciebie z niecierpliwością!

Bielactwo – moja historia, przyczyny i leczenie



Bielactwo, z łaciny *vītiligo*. Choroba Michaela Jacksona i modelki Winnie Harlow (na zdjęciu tytułowym). I moja. Choroba bardzo powszechna, zwłaszcza, kiedy, tak jak ja, zwraca się na nią wzmożoną uwagę. I zaskoczenie w oczach ludzi, kiedy mówię, że tak, miałam. I wyleczyłam.

Poniższy wpis kieruję do wszystkich mam, których dzieci może to dotyczyć, ponieważ zwłaszcza u dzieci (zwykle po 10. roku życia) bielactwo leczy się najskuteczniej.

Czym jest bielactwo?

Ludzkim językiem bielactwo to mlecznobiałe plamy na powierzchni skóry o nieregularnym kształcie, które nie opalają się na słońcu. U mnie zaczęło się od małych kropek na prawej dłoni, które stopniowo rosły (zablokowane później przez leczenie) i rozprzestrzeniły mi się wyżej na rękę, ramię, szyję i brodę. Fachowym językiem bielactwo to niedobór melaniny, czyli barwnika nie tylko skóry, lecz także tęczówek

oczu i włosów. To stopniowa depigmentacja skóry. Co ciekawe, zwykle depigmentacja ta jest symetryczna, obejmuje obie strony ciała, natomiast u mnie objęło to tylko i wyłącznie prawą stronę. Dlaczego? Mam pewnie podejrzenia.

Co jest przyczyną bielactwa?

Tak naprawdę główne przyczyny są dwie. Bielactwo można odziedziczyć w genach lub może być ono efektem stresu pourazowego. U mnie wyglądało to w ten sposób, że, kiedy byłam dzieckiem, rok po roku najpierw spadł na mnie czajnik z gotującą się wodą i miałam poparzoną całą prawą nogę, a następnie złamałam na nartach prawą rękę w taki sprytny sposób, że przez miesiąc chodziłam w gipsie od pasa po szyję. Mam wrażenie, że dla mojego organizmu było to dość sporo. Możliwe też, że spadła mi wtedy odporność (co dla bielactwa ma spore znaczenie) i reakcja była taka, że białe plamki pojawiły się najpierw na prawej dłoni, następnie na prawej stronie ramienia, szyi i po prawej stronie brody.

Na czym polega leczenie?

Leczenie jest długie i wymaga dużej systematyczności. Polega na naświetlaniu lampą PUVA, często w połączeniu ze smarowaniem zmian preparatami intensyfikującymi efekt i pobudzającymi pracę melaniny. Dodatkowo można stosować na zmiany przed wyjściem na słońce preparaty roślinne. U mnie był to dziurawiec. Leczenie nie było zbyt bolesne, ale nie było też przyjemne, zwłaszcza, że wiązało się z częstymi poparzeniami skóry na powierzchni białych plamek. Jednak, o dziwo, poparzenia są bardzo dobrym objawem, ponieważ świadczą o tym, iż skóra reaguje, a barwnik został pobudzony do działania.

W leczeniu bielactwa ważna jest szybka reakcja na jego pierwsze objawy, czyli błyskawiczna wizyta u dermatologa, ponieważ im szybciej zaczniemy naświetlania, tym mniejsza będzie szansa, że białe plamki się powiększą i rozprzestrzeniają.

Jaki jest efekt leczenia?

Leczenie przechodziłam jako nastolatka, można więc sobie łatwo wyobrazić co to dla mnie oznaczało. Fakt, iż plama umiejscowiła się na twarzy, miejscu bardzo widocznym dla otoczenia, nie dodawał mi pewności siebie. Podziwiam bardzo mocno moją mamę za wytrwałość w wożeniu mnie do szpitala na naświetlania i w nieustannym nakłanianiu mnie do wystawiania twarzy na słońce. Wtedy miałam tego serdecznie dość, bo takie wystawienie przeważnie kończyło się poparzeniem, natomiast na dzień dzisiejszy, właśnie dzięki mojej mamie, mój problem z bielactwem nie istnieje. Plamy na całej dłoni, ramieniu i szyi zniknęły, są koloru reszty ciała, natomiast plama na brodzie jest bardzo mało widoczna i po nałożeniu makijażu nie widać jej w ogóle, zwłaszcza w okresie zimowym, kiedy nie jestem opalona. Przy opalenizmie plamka robi się delikatnie różowa.

Bielactwo nie wpłynęło na mnie w żaden istotny sposób, poza kompleksami wieku nastoletniego. Jednak w ostatecznym rozrachunku wiem, że leczenie miało duży sens dla mojego **zdrowia** fizycznego i psychicznego. Jestem szczęśliwa, że ta choroba już mnie nie dotyczy.

Źródło zdjęcia tytułowego: medium.com.

Podobne wpisy:

- 6 mitów dotyczących dbania o mleczaki
- Ciemieniucha – tego na pewno o niej nie wiesz!
- Łaskoczesz swoje dziecko? Będziesz w szoku!

Mamo małego dziecka, przestań

się obwiniać!

Mamo małego dziecka, przestań się obwiniać. Ty i Twoje dziecko macie tylko jedno życie, tylko jedną wspólną drogę i wspólny czas. To od Ciebie zależy jak je wychowasz, jaki pokażesz mu świat.

Jak odpieluchować dziecko w weekend



Teorię odpieluchowania i metody na to, jak skutecznie je przeprowadzić, wszystkie matki znają jeszcze zanim ich

dziecko przyjdzie na świat. Taka sama byłam i ja. W zasadzie odkąd moje dziecko skończyło rok – półtora, już o tym myślałam, i nie była to miła myśl. Nie oszukujmy się – ta myśl spędzała mi sen z powiek.

Oczywiście mogło być gorzej. Mogłam mieć do odpieluchowania bliźniaki. Albo trojaczki. Los był jednak dla mnie łaskawy i na pierwszy ogień dostałam jedno dziecko. No, to będzie z górki – pomyślałam. W jakimż byłam błędzie!

Kiedy przyszedł, w moim odczuciu, idealny moment, wyposażyłam się we wszystkie niezbędne gadzety: majtki treningowe, zwykłe majtki mające zachęcić użytkownika wzorkami w najulubieńsze bajki, tematyczne książeczki, filmiki na Youtube'ie, kolorowy papier toaletowy, wszelkiej maści nocniki, nakładki, a nawet dziecięcy pisuar (!!!).

Uzbrojeni w masę cierpliwości, wyrozumiałości i pokłady dobrej woli, podjęliśmy tę nierówną walkę. Robiliśmy dwa podejścia do tematu. Za pierwszym razem sami, za drugim z dużym wsparciem i kibicowaniem pań przedszkolank. Tłumaczyliśmy, wyjaśnialiśmy, o co chodzi, jak to się robi, gdzie to się robi, dlaczego to się robi. Przeczytaliśmy milion poradników, zużyliśmy kilometry ręcznika papierowego, a z nerwów zostały nam tylko strzępy.

I co? I nic.

Mimo że delikwent teorię rozumiał doskonale, ba, był nawet chętny, żeby przełożyć ją na praktykę, na chwilowych dobrych chęciach się skończyło. Za drugim razem nabawił się wręcz wstrętu do nocnika i na długi czas nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

Co w takiej sytuacji może, a nawet musi zrobić zrozpaczony

rodzic? Po pierwsze może sobie zadać pytanie, czy kiedykolwiek widział osiemnastolatka sikającego w pieluchę. No właśnie. Po drugie musi dać na wstrzymanie. Odpuścić. Olać (nomen omen) sprawę. I najważniejsze: poczekać. Słowo klucz. **POCZEKAĆ.**

Pisały mi to doświadczone czytelniczki. Mówili mi to doświadczeni znajomi. Nie wierzyłam. Moje dziecko miało skończone regulaminowe dwa lata, kiedy to żłobek, przedszkole i cała reszta otoczenia zaczynają na nie patrzeć krzywym okiem, no bo jak to: MA JUŻ DWA LATA I SIKA W PIELUCHE???!!! WSTYD I HAŃBA!!! A matka, jak to matka, zaczyna się standardowo zastanawiać co jest do licha nie tak i z nią, i z jej dzieckiem.

W takiej sytuacji słyszy się zwykle *świetne* rady (na inne jest się oczywiście głuchym).

Bo to trzeba być cierpliwym, a Ty nie jesteś!

Bo to trzeba się zaprzeć, trzeba wytrzymać!

Bo Ty leniwa jesteś, chciałabyś żeby to się stało za jednym zamachem, a tak się nie da!

Gówno prawda.

Gdybym drugi raz miała zabrać się za odpieluchowanie, kompletnie odpuściłabym wszelkie próby „na siłę”. Bo to nie rodzic wyznacza dziecku, kiedy jest na to gotowe. **To dziecko samo Ci powie, że już chce.** Bo będzie miało dosyć pieluchy. Bo będzie widziało, że inne dzieci już nie noszą. Bo po prostu poczuje, że już teraz da radę. Dziecięca intuicja jest po prostu magiczna.

Jak to u nas wyglądało?

Szybko i bezboleśnie. W piątek przed tegoroczną Wielkanocą (miesiąc przed trzecimi urodzinami mojego dziecka) panie w przedszkolu powiedziały mi, że wreszcie została pozytywnie i z

sukcesem rozpatrzona propozycja skorzystania z kibelka. Cały *stuff* już mieliśmy w domu, przed nami były trzy wolne dni, więc niewiele myśląc stwierdziliśmy, że skorzystamy z pomyslnych wydarzeń i pociągniemy temat w domu. Bo przecież co mamy do stracenia.

Pierwszego dnia umyliśmy podłogę kilka razy, tłumacząc za każdym razem, że trzeba wołać. Drugiego dnia Ignas już wołał, ale dwa razy zrobił to za późno. I to były ostatnie dwa razy, kiedy trzeba było go przebrać z tego powodu. Po miesiącu obserwacji zrezygnowaliśmy z pieluchy na drzemkę i na noc.

Tak po prostu.

Bez spinania się, bez nerwów, bez stresu. Bo był gotowy.

Dlatego wszystkim zmartwionym tym tematem rodzicom, zastanawiającym się co robią źle i co trzeba zmienić, z całą mocą odpowiadam: **NIC**. Po prostu poczekajcie. Kiedy przyjdzie odpowiedni moment, będziecie wiedzieć.

Podpisano: mądra życiowo Motheratorka.

Zapraszam do grupy mam, w której radzimy sobie, pomagamy i jesteśmy dla siebie przyjazne: **KLIK**. Czekam tam na Ciebie z niecierpliwością!